

Wyobrazenia byly zadne. Ogromne przestrzenie I zatloczone miasta. To z filmow. Lysiak pisal, ze trzeba zobaczyc, aby zrozumiec. Chyba nie wiedzial o czym mowi, bo jak nowo upieczony magister nie jest w stanie czegos zrozumiec czy sobie wyobrazic. Fantazja ponosila nas przy jakichkolwiek dyskusjach. W swojej niewiedzy medrkowalismy zawziecie albo sluchali basni z tysiacia I jednej nocy od tych, ktorzy otarli sie o Greenpoint albo Jackowo. Tak budowalismy wizerunek Ameryki. Natomiast , gdy trzeba bylo we Wloszech dokonac wyboru kraju docelowego, pewnosc siebie pierzchla gdzies bezpowrotnie. Australia I Kanada necace spokojem kusily podczas gdy Stany obiecywaly perspektywy, ale jak sie uda. A jak nie, to swoj intelekt nalezy poswiecic organizacji cieplego pudla pod mostem. Na sama mysl oczy robily sie dziwnie wielkie. I chociaz bylem wsrod obcych I nie zawsze przyjaznych mi ludzi, to dla wychowanego nad Wisla w duchu przyjazni I wspolpracy, wloska rzeczywistosc przekonywala do siebie I dawala poczucie bezpieczenstwa. Ewentualnosc zmiany tego modelu na mrzonki o wielkim sukcesie nie lezala w moim charakterze. Nie bardzo widzialem sie w roli pucybuta z perspektywami. Okazalo sie ze Australia mnie nie lubi, a Kanada to kolejny rok oczekiwania. Stany przyjmowaly papiery na biezaco I dzialaly szybko. To byl express. Ludzie jeszcze dobrze nie wyleczyli kaca, a odmowa juz wisiala na tablicy ogloszen. Ponad 90% odpadalo. Moja szczesliwa gwizdka popchnela mnie w te prawie 10% I tak sie zaczela moja Ameryka. Lotnisko JFK takie sobie. Tempo, jakie nam narzucono po wyjsciu z samolotu mialo sie nijak do wloskich przyzwyczajajen. Pospiech nad Tybrem jest terminem nieznanym. Pierwszy kontakt z zywym angielskim to next, next, go ,go. Zaparkowana limuzyna z kierowca I otwartym bagaznikiem juz na nas czekala. Po Fiacikach robilo to wrazenie. Ostatnie sprawdzenie naszych dokumentow I plynelismy chyba w Lincolnie. Zachwyty topnial z minuty na minute, kiedy wypatrywalismy nowojorskich drapaczy w drodze z lotniska na Brooklinski Flatbush. Zapytany kierowca , Polak, kiedy bedziemy w N.Jorku, popatrayl na mnie jak na kretyna. Dla mnie to byly w najlepszym razie Myslenice a nie N.Jork. Pierwsza noc. Kanalow nocnych w telewizji nie mniej niz w lazience karaluchow. Kurki w tejze samej lazience odkrecaja sie jeden w prawo, drugi w lewo. Maszynki gazowej nie znalazlem , ale ciepla woda byla. Kapalem sie w wannie zatkanej szmata bo korka tez nie znalazlem. Nie zauwazylem dziury w podlodze, gdzie wtykajac kij tamowalo sie odpływ wody z wanny. Kaloryfery mialy tylko jedna rure , jestem inzynierem ale takich cudow jeszcze nie widzialem. Maszynka gazowa w kuchni chyba byla jeszcze poniemiecka, bez zapalarki elektrycznej, a po zapalkach ani widu ani slychu. Moja zapalniczka opalala mi palce ku uciecze reszty lokatorow. Tego sie po Ameryce nie spodziewalem. Takie dziadostwo, ani porzadna kapiel, ani salony a herbata okupiona bablami. Robale znalazem juz z Wloch. A byl to dopiero pierwszy wieczor. Nastepny dzien do dzisiaj pamietam doskonale, jakby to bylo wczoraj. Rano okazalo sie, ze chociaz budynek jest stary I z cegly, to te kilkanascie pieter polaczonych jest piecioma windami. W piwnicy byly praktycznie automatyczne za smiesznie niska oplata chyba 25 centow i jakies inne urzadzenia, ale nie bylem docieklivy. Z pralek kazdy mogl korzystac, zsypano ze smieciami nie cuchnal, windy dzialaly, korytarze byly niezablocone i nikt tego nie pilnowal. Widac dla tubylcow bylo to normalne. Ulice po rzymskich doswiadczeniach wygladaly jak pasy startowe, po ktorych sunely wielkie krazowniki, prawdziwe amerykanske. Jedne glosniejsze, drugie smrodliwe, niektore imponujaco lsniace, inne w stanie technicznym pozostawiajacym wiele do zyczenia. Z oklejonymi lampami albo wrecz bez lamp, resztki lakieru obok skorodowanych dziur, metalowe wieszaki w miejsce anten, jeden nawet ciagnal swoj tlumik iskrzac po asfalcie. Ale co ciekawe, nikomu to nie przeszkadzalo, ludzie wygladali na zadowolonych z zycia I co chwila ktos pytal, skad jestesmy. Chyba wyroznilismy sie z tlumu. A co najwazniejsze mozna bylo takim autem na chodzie wyjechac od przyulicznego dealera za 275\$ (z rejestracja). To byl poltora tygodniowy zarobek. Ceny w sklepach nieprawdopodobne. Juz Wlochy uzmyslowily mi, jak nasza awangarda robotnicza zorganizowala mi dwa piwa z obowiazkowym I przechodnim sledziem po japonsku za pol dnia pracy. Ale to co zobaczylem tutaj na wystawach, przeroslo najsmielsze oczekiwania. Dwanascie jaj po 99 centow, mleko to samo, wszystkie podstawowe produkty spozywcze byly ponizej dolara. Radio z czarnobialym telewizorem za 35 dolarow robilo wrazenie, kiedy moj tata kupil nowy telewizor po pieciu latach oszczedzania. Galon benzyny 98 centow. Po poludniu pojechalem na Manhattan. Stare budynki z cegly na trzydziestu pieter, nowe szklane, beton I aluminium obok dwupietrowych walacych sie ruder. Strasznie to wszystko wielkie. Koszmarne

konstrukcje metalowe z zewnętrznymi windami towarowymi do wielopoziomowego przechowywania aut na otwartych parkingach. Przy głównych alejach budynki poniżej 50 pieter wyróżniały się swoją "niskoscia". Bocznymi ulicami z kilkupiętrowa zabudowa przewalał się ten sam tłum, co alejami, każdy podążał w jakimś kierunku. Łoskot subwayu w połączeniu z nieprawdopodobną ilością samochodów sprawiał wrażenie nieopanowanego chaosu. Subway pod Manhattanem był dla mnie labiryntem. Na jednej ze stacji zmieniłem zdanie i chciałem wyjść z powrotem na ulice. Coś poknociłem, wyszedłem, ale w całkiem inny świat, wielki ogromny stary budynek z masą ludzi wewnątrz. Udało się wyjść na zewnątrz, ale oczywiście nie miałem zielonego pojęcia, gdzie jestem. Obok, strumień ludzi, aut, hałasu, niezrozumiałego języka, miliona tablic z napisami, świetlnych neonów i ja w środku. Musiałem ciekawie wyglądać, bo co chwila pytano mnie czy nie potrzebuję pomocy. Nikt się nie podśmiewał i nie pokazywał mi palcem pytając, czy pierwszy raz w Nowym Jorku. A miasto ogromne, czuło się 8 milionów w tym urbanistycznym kolosie. Bezkręś budyneków z ograniczającym go oceanem. Na pewno nie był to konglomerat miasta z okolicznymi wsiami. Cała metropolia 16-tu milionów była połową ludności Polski. Każdy inny, wszystkie rasy, kolory skóry, religie, o których nawet wcześniej nie słyszałem. Chyba wszystkie języki świata. Angielski oczywiście przeważał, ale gdy zdesperowany musiałem o coś zapytać, inni nieznanymi mi ludźmi przyłączali się do rozmowy i próbowali swoich możliwości. Rozświetlone sklepy ze swoimi wystawami i otwartymi drzwiami, ruch ludzi i samochodów bez względu czy to czwarta po południu czy czwarta rano. Doświadczyłem tego osobiście próbując przejść wieczornym Broadwayem z dołu Manhattanu do 160 ulicy. Zabrało mi to dwie noce. Myślałem, że zgodnie z moimi przyzwyczajeniami, w godzinie przejeżdżę z jednego końca śródmieścia na drugi. Prawda jest, specjalnie się nie spieszyłem, zaglądałem do sklepów otwartych 24 godziny na dobę, oglądałem ludzi, wystawy i samochody, z których każdy był inny. Młodzi, starzy, eleganccy i w lachmanach, biznesmeni i uliczni muzycy, turyści i bezdomni, skąpo odziane panienki obok patrolujących policjantów, piękne kobiety obok zaniedbanych, ateści i wierzący, Żydzi obok Arabów. I chociaż wszyscy oni byli na tym samym chodniku, nikt nie sprawiał wrażenia uciemzonego czy nieszczęśliwego. Tych pierwszych kilkadziesiąt godzin utwierdziło mnie w słuszności wyboru. Widząc ten moloch z jego niesamowitą energią i rozmachem zrozumiałem, że nie jest to takie złe, że jakos to wszystko współpracuje i ja mam szansę być częścią tego organizmu. To był ten moment, przestałem się oglądać za siebie. Ważne było, co będzie i jak mam się do tego przygotować. Na interview o pracę nikt nie pytał o dyplomy. Kazali pokazać co umie i jakie mam plany na przyszłość. Po pierwszym tygodniu pracy zaproszono mnie do obcego domu na święto dziękczynienia. Amerykańska rodzina o określonym statusie społeczno-ekonomicznym z tradycjami nauczania akademickiego. Opowiadali o emigracji swoich przodków i nawet przez chwilę nie czułem się obco, chociaż dla nich byłem tylko emigrantem z jakiegoś komunistycznego państwa. Takich zaskoczeń było więcej. Kiedyś, kiedy dorobiłem się już auta za 200\$, w nocy na autostradzie pękła chłodnica. Ktoś się zatrzymał, zawieźli mnie do budki telefonicznej, zapytali czy nie potrzebuję quodra na telefon i gdy już się dodzwoniłem, odjechali. Zonie kuzyna, która przyjechała tu na chwilę, wystrzeliła opona uprzednio przewiązana sznurkiem. Jakas kobieta się zatrzymała, wypytała kto i co się stało, chciała zostawić 10\$ na taxi (komorek jeszcze nie było). Po latach zrozumiałem, to nie samarytańskie dusze tylko kompromis między sumieniem i twardym realizmem oraz świadomość sytuacji odwrotnych, kiedy pomagający może sam potrzebować pomocy. Chociaż pomoc była tylko doraźna, to zawsze coś i jest to mile. Gdy w Polsce zabrakło mi benzyny, jakiś uczynny poradził na przyszłość wóz drabiniasty. I tak powoli rosła we mnie ufność w nowe warunki, w których się znalazłem. Miałem pracę, nie byłem głodny i miałem ciepły kat. Na początek spałem na podłodze, deska i dwa pudła służyły za biurko. Nauczyłem się tak dzielić ulice z przejeżdżającymi samochodami (ulice oczywiście bez chodników, to były przedmieścia), aby w deszczowe dni możliwie suchym docierać do pracy. Jako kreslarz nie zarabiałem kroci, ale miałem szansę na szkole. Na budowie dostałbym więcej, ale w lecie dniówki są długie a szkoły w nocy pozamykane. I tak w dzień do pracy, popołudniu do 10 wieczorem lokalny collage, a w weekendy zadania domowe. Musiałem walczyć o swoją przyszłość, nikt tego nie chciał zrobić za mnie. Oczywiście angielski, komputery i programowanie. Powoli kończyłem kurs po kursie, w pracy nie potrzebowałem już tłumaczy, poznałem tutejsze normy, a co najważniejsze nowy sposób myślenia. Więcej nauki pozwalało no

wiekszy zakres obowiazkow I odpowiedzialnosci, a wiec I na kolejne podwyzki. Powoli wychodzac ze stadium podstawowego, gdzie walczy sie tylko o przetrwanie, zaczalem myslec o weekendach, przyjaciolach I nadchodzacych wakacjach. Jeziora I okoliczne gory okazaly sie bardzo piekne. W Nowym Jorku bylo wiele interesujacych mnie miejsc. Pierwsze wyjazdy na Floryde I do Kalifornii pokazaly, jak niezwykle jest ten kraj. Ile mozna robic ciekawych rzeczy, o ktore przedtem nigdy bym siebie nie posadzal. Wszystko bylo w zasiagu mozliwosci zarowno finansowych jak I organizacyjnych. Haslo "Swiat nalezy do Ciebie" zaczynalo nabierac sensu. Polityka mnie nie interesowala, za malo rozumialem z tego, co sie wokol mnie dzieje, poza tym szkola Jaruzelskiego I Rakowskiego skutecznie zniechecila mnie do niej. Wolalem programy o misiach I przygotowania do nadchodzacego wlasnie urlopu. Wspomnienia przeszkadzaly. Juz we Wloszech nostalgia potrafila zniszczyc co wrzliwsze charaktery. Zdawalem sobie sprawe z niebezpieczenstwa zbyt wczesnych powrotow do przeszlosci. Moze to brzmi cynicznie, ale dla kogos wyrwanego z grona swoich bliskich, rodziny, kultury, historii, itd najlepszym lekarstwem jest nieswiadomosc. U mnie chyba dopiero po 10 latach powroty do przeszlosci nie powodowaly dziwnego pieczenia w zoladku. To tak jak z paleniem (dla zaawansowanych). Jak sie je rzuci, to przez pewien czas lepiej nie prowokowac. Tym bardziej, ze wyjezdzalem ze swiadomoscia, iz nigdy Polski juz nie bede ogladal, ze mur berlinski bedzie rosl w sile, a Urbanowi zylo sie dostatnio. Nie przewidzialem roli naszego Papieza, Reagana, Gorbaczowa I Walesy w ksztaltowaniu przyszlosci. Muru nie ma, Urban pewnie w jeszcze wiekszych dostatkach, ale w innej rzeczywistosci. Od razu rodzaca sie watpliwosc, co dla mnie lepsze. Mogloby sie okazac, ze po okraglym stole caly moj wyjazd ze wszelkimi tego faktu konsekwencjami przestawal miec sens I powrot marnotrawnego jest mozliwy. I znowu zaczynac wszystko od nowa. Lepiej dla mnie bylo odsunac luksus tego typu rozwazan na dalszy plan, przeczekać do przeterminowania sie watpliwosci. I tak tez sie stalo. Edukacji nie poprzestalem na ukonczonych szkolach. Zaczely sie rozne kursy I zawodowe szkolenia, wyjazdy sluzbowe az wreszcie dotarlem do punktu, w ktorym nie musialem sie pocic na mysl o jutrze. Angielski przestal byc tabu, kino, telewizja I radio zaczely mnie cieszyc i mialem sie z kim tym wszystkim podzielic. Moi przyjaciele, ktorzy przyjechali w podobnym czasie I okolicznosciach, tez juz byli czescia tej spolecznosci. Do dzisiaj po tych dwudziestu kilku latach nadal sie spotykamy. Kazdy ma swoje racje I przyzwyczajenia, co nie przeszkadza pamietac, jakie byly nasze poczatki. Dlatego jest jakas dziwna spojnosć tego kraju, bo wszyscy maja swoje Thanksgiving. Mysle, rzeczowosc I madrosc, nie ta ksiazkowa, sa pochodnymi niewyobrazalnych warunkow, w jakich rodzil sie ten kraj. Wojny, indianie I choroby sa popularnymi tematami, to juz znamy. Natomiast przewedrowac centralnymi I poludniowymi stanami na zachod to nielada wyczyn. Jak Lysiak pisal, to trzeba zobaczyc, zeby zrozumiec. Kamienie, piach I kaktusy. Lepianki, w jakich mieszkali wypadaly kiepsko w porownaniu z galicyjskimi chatami. Nie lepiej na wschodzie, byly juz miasta, w mieszkaniach I po piec rodzin. Wlasciwie przyjachali na gorsze, nikt im nie pomogl ale tez nikt im nie przeszkadzal. Jesli sie wczesniej sami nie wystrzelali, to dwor ich nie szwabil, nie bylo ekonomow ani magnackich ukladow. Uczyli sie zyc w nowych warunkach I to im zostalo. Mysle, to jest najwieksza sila tego narodu. Zawsze mnie imponuje ich zdolnosc do asymilacji. Zalawianie problemow nie polega na znalezieniu winnych, tylko na szukaniu rozwiazan na przyszlosc, Prawdziwa nauka na bladach. Analiza pomyslow, a nie pomyslodawcow, daje efekty. Nie ma idiotow, moga byc tylko nietrafione koncepcje. A jak sie juz takowi trafia, "to mamy numer, zadzwonimy". Jest nawet metoda dopuszczajaca bledne postepowanie I w miare nabieranego doswiadczenia eliminacje tych bledow. Nikt nikomu nie wymysla od polglowkow. Niewatpliwie pomaga w tym otwartosc rozmow, brak obyczajowego skrepowania opiniami innych oraz traktowania krytyki jako narzedzia rozwoju. Nie mialem nigdy zielonego pojecia, ze to tak ulatwia zycie. I chociaz moj angielski pozostawia wiele do zyczenia, staraja sie mnie zrozumiec. Ewentualnie pozniej zapytaja, skad jestem orginalnie, ale to raczej ciekawosc niz chec dokuczenia. Kissinger przyznal kiedys, ze podpadl wielu waznym, ale nikt go nie zapytal przez te wszystkie lata, co on tu jeszcze robi w Stanach. A latwosc zadawania pytan jest powszechna. Bez wzgledu, czy to fizyka kwantowa czy angielska pisownia, klient jak nie wie to pyta. Nikt sie temu nie dziwi procz jednego narodu wszechwiedzacych geniuszy, w szczegolnoscii starszego pokolenia wychowanego na podzialach wies-miasto, intelligent-robotnik I uwazajacego w kazdej sytuacji, aby zle nie wypasc. Ma sie rozumiec,

tutejsi ziomkowie tylko czaja sie po katach aby nam dopiec. A poniewaz jestesmy zdolnymi bestiami, to i tak wiemy swoje. Ja jestem mniej zdolny i nauczyłem sie pytać, zanim coś popsuje. Pomny nowych doświadczeń patrzyłem ufnie w przyszłość i wierzyłem w perfekcję tego kraju. Oczywiście powszechny komercjalizm w parze z konsumpcyjnością trochę mi przeszkadzały, ale nie mogłem narzekać. Przyzwyczaiłem się do O.J. Simsona w każdych wiadomościach, do pytań, gdzie leży Polska lub czemu krawat w paski gryzie się z marynarką w kratę. Taki jest model, oni się nie zmieniają, to ja musiałem się dostosować. Wśród znajomych wymienialiśmy ważne dla nas informacje, dowcipkowaliśmy lub wspominali czasy zamierchle. Polityka była dla polityków. Nas cieszyły nasze sukcesy. Kiedy zaczęła się afera z Clintonem i rozpetana przez media narodowa dyskusja, czy cygaro było nad biurkiem czy też pod jego blatem, coś mi się przestało zgadzać. Chyba ktoś komus chciał coś udowodnić. Prezydent postawiony przed kongresem oczywiście zaprzeczył wszystkiemu i zrobiła się chryja. Ci, których Moniki pozostawały nadal w cieniu, mieli pewnie najwięcej do powiedzenia, póki sami nie wpadli albo się okazało, że ich call girl nagle się powiesiła, bo one to mają bardzo wrażliwe charaktery i w razie niepowodzenia od razu popełniają samobójstwa. Natomiast pana prezydenta za nieprawdziwość opisów procedur relaksujących wytypowano do impeachmentu, bo zapewne zagroził bezpieczeństwu narodowemu. Dopiero akcja humanitarna z bombardowania Bagdadu ocaliła Clintona. Jakbym dostał obuchem w głowę. Tu w Ameryce, ostoi demokracji i zdrowych układów taka defraudacja sprawiadliwości. Następny prezydent był jeszcze lepszy, bo wprowadził w błąd nie tylko kongres i nas, ale i resztę świata. Nie wszyscy się dali, co zostało w sposób właściwy docenione. Okazało się, że ONZ jest skorumpowany, Rosjanie, Niemcy, Francuzi i reszta Europy to polgłowki i antysemita, tylko Biały Dom miał patent na prawdę. W rezultacie mass destruction rzeczywiście znajdowano ale w Ameryce przez następne 8 lat. Do dzisiaj to naprawiamy. Ale biorąc pod uwagę różnorodność korzyści i liczbę sukcesorów z tak wyczekiwanej przez naród iracki wojny i późniejszej okupacji ich kraju, pomysłodawca został rozgrzeszony a rozmowy na ten temat były w złym tonie. Artysci w ramach obrony demokracji dostali "przykaz" do siedzenia cicho na większych imprezach, szeryf przegonił niezadowolonych koczujących w sąsiedztwie rancza prezydenta, a telewizja pokazywała tych, co się stawiali. Jeden pan redaktor w swojej sobotniej audycji opowiadał, jak to Irakijczycy na kolana padają i dziękują nam za bombardowanie ich rodzin w Bagdadzie, natomiast inny szczwany lis z któregoś z nowojorskich stacji ubolewał nad Paryżem, bo głupcy i tchorze nie strzelali od razu do protestujących muzułmanów. Wtedy mój wytrenowany przez 30 lat scapytyzm odżył i zrobiło się dziwnie. Przypomniałem sobie rozmowę sprzed wielu laty, nocne studenckie bajania. Jeden gość będący kiedyś czynnym uczestnikiem marca 68 na UJ-cie wrzucił wszystkie państwa do jednego worka. Oburzyliśmy się, jak można Stany porównywać z Rosją. A on swoje, że nie ważne czy nad Potomac czy nad Moskwą, chodzi o utrzymanie władzy. Różnią się tylko metody. W jednych krajach oponenti tracą życie, w innych siedzą w więzieniach albo są szykanowani, w jeszcze innych są zepchnięci do totalnej nędzy. Ale są też kraje, w których bez bezpośredniego udziału państwa czynniki ekonomiczno-psychologiczne doskonale regulują temperament społeczny. Wystarczy, aby awans ekonomiczny był ułatwiony, naród szybko przyzwyczaił się do dobrego, a później jak jest niegrzeczny to zawsze można go postraszyć zabranieniem zabawek. Ludzie, aby utrzymać to co mają, bo dzieci, żona, rodzina, zaprzędają dusze aby tego nie stracić. Jak z kartami kredytowymi. Pierwsze się daje, a później wali po głowie. Przestał wtedy nam się podobać ten prezydent. Kilkanast lat później w wolnej prasie, tv i radio, bez cenzury, znowu wysłuchiwałem bzdury i programy belkot. Na początku Bush junior był głupi i nie znał angielskiego, a genialni kontrkandydaci szukali kluczy do Białego Domu w Sadzie Najwyższym. Potem naród był przerażony 11-tym września i często mu to przypomniano. Następny kandydat był kłamca, nie walczył w Wietnamie, tylko się przyglądał. Miesiąc później okazało się że jednak walczył, prasa przeprosiła, ale cel osiągnięto i wypadł z szeregu. Kolejny to dopiero był popis. Obama-Osama, Hitler-Gitler, terrorysta, z brakiem obywatelstwa amerykańskiego (choć od dwóch lat był już senatorem), brat żony siostry kuzyna pastora z jego rodzinnej kongregacji często się masturbował czy też nie lubił białych, itd, itd. Przed wyborami tak się manipuluje ludźmi, aby uwierzyli, że odkreślanie kandydaci to rzeczywiście ich wybór. Krótko mówiąc, taka sama przepychanka jak w pozostałych państwach. Dzisiaj statua wolności nabrała dla mnie całkiem innego wymiaru. Na pewno jest

symbolem wolności i kraju nieograniczonych możliwości, symbolem każdego z nas idącego własną drogą. Natomiast symbol kraju-wzorca demokracji i zdrowych mechanizmów politycznych przybładł i to znacząco. Gosc z marca 68 miał rację. Moja fortepian może nie sygnalizować bruku, ale spadł o kilka pieter niżej. To, w co najbardziej wierzyłem okazało się czesciową fikcją, natomiast to, o czym nie miałem pojęcia, urosło do miana pięknego symbolu. Popierany przez państwo niepojęty ped do działania, wiara w wolność i tutejsi ludzie. Jeśli tylko nie wchodzi w grę większe pieniądze albo lukratywne stanowiska, bardziej czy mniej ale są trochę jak rodzina. Niekoniecznie muszą się kochać, ale nieznamy do nas się odezwie czy też nikt się nie zdziwi jak mu ktoś dołoży brakujące 50 centów do rachunku albo pochwali jego buty. Śmieją się dużo, nikt niepytany nie absorbuje nas swoimi problemami. Jak coś nie wyjdzie, nie jest to koniec świata. Z ocenami wstrzymują się do osobistego zdania a nie wyroczni, co dobre, a co złe. W każdej sytuacji potrafią znaleźć jasne punkty. Przykład z życia. Wakacje, jeden dzień leje, ale piękna okolica. Drugi dzień słońce, chociaż nieciekawie. Miałem okazję słyszeć, „cholera wczoraj padła, a dzisiaj jak na odkrywcę.” Ale można też „mokra, ale pięknie, a jutro zapowiadają słońce”. Jak niewiele trzeba, a ile to zmienia. Szanują radości innych, chociaż przedmiot radości może się nie podobać. Nie są drobiazgowi, każdy ma prawo być inny i to akceptują. Dlatego nie mają widocznych uprzedzeń ani strachu przed byciem sobą. Są względnie otwarci i każdy światopogląd jest dobry, jak komus odpowiada. To jest naprawdę wspaniale. Obcy nie obrażają się wzajemnie, najwyżej ktoś dostanie w dziób i na tym się kończy. Ale uwaga, jak potrzeba, to na miejscu zbiórki w jednej chwili potrafi być policja w ilości kilku wozów, chwile później straż pożarna, trzy pogotowia (w tym jedno gazowe) i pomoc drogowa. Zawsze ktoś może się przydać. Ten pragmatyzm w parze z funkcjonalizmem czasami prowadzi do paradoksów. Estetyka może być pod pseudem, ważne aby miało sens i działało. Natomiast gdy w grę wchodzi jakieś tantiemy, to już nie jest tak ładnie. I czy to chodzi o pieniądze, wpływy czy święty spokój, ludzie tracą poczucie humoru, stają się niecierpliwi, czasami odnoszą wrażenie, że sprzedaliby swoich rodziców, aby na tym zarobić. System wartości zmienia się w sekundzie. Naciągający uchodzi za mądrego, a gani się oszukanego, bo się dał. Często uczciwość w rozliczeniach przejawia się tylko przy robieniu zeznania podatkowego. Oczywiście generalizuje, nie pisze, że wszyscy tak robią, bo dużo ludzi bym skrzywdził. Wartość pieniądza jest wszechwładna. Zabawa w ciuciubabkę polega na daniu zarobić aby później szukać metody pozwalającej na jak najskuteczniejsze zabranie z powrotem zarobionych pieniędzy. Wszystko jest temu podporządkowane. Myślę, ok 99% bodźców wokół nas zaprojektowanych jest temu celowi. Nie rodzina, bo ona tylko przeszkadza i nie pozwala pracodawcy na pełną dyspozycyjność pracownika. Miłość też jest niebezpieczna, bycie z ukochanym zawsze wygra z pojsciem do roboty. Popularyzacja pięciu dni w pracy i dwóch dla natury zaczyna dawać efekty. W wielomilionowych miastach mieszkają obok siebie ludzie samotni. Obawa przed odpowiedzialnością i zobowiązaniami coraz bardziej odsuwa ich od siebie, a egoizm nie ułatwia zżyłości. Łatwo się pogubić i tylko dzięki utrzymywaniu dystansu do natłoku informacji zachowuje względny obiektywizm. Realizacja kiedyś marzeń, a dzisiaj zainteresowanie pozwala na utrzymanie komfortu psychicznego. W relacjach z najbliższą rodziną po doświadczeniach z młodości dawanie jest ważniejsze od brania. Nie zastanawiam się, co kto i kiedy. Udało się, im się też to udzieliło i dzięki temu mam wspaniały dom. Każda minuta spędzona poza nim to minuta stracona. Chyba, że jego zawartość jest razem ze mną. Wszystko podporządkowałem tej idei. Pracuję, abysmy względnie egzystowali, bo wszyscy na to zasługują. Nauka, ambicja w pracy i uczciwość względem szefa poplaczają, nigdy nie byłem bezrobotny, miałem szczęście, szef też jest uczciwy. Nauczyłem się bezwzględnie oddzielać życie zawodowe od prywatnego. W domu staramy się wspólnie uczestniczyć w swoich zainteresowaniach. Mnie cieszą ich przyjemności, może z wyjątkiem zakupów, nie mogę się przyzwyczaić, oni tolerują moje dziwactwa. I tak pielęgnujemy swoją Amerykę, podziwiamy wokół nas piękny kraj, jakim są Stany, ze wszystkimi zaletami i wadami i skoro już nas przyjęły, starajmy się im pomóc, a przynajmniej nie szkodzić.

Stefan